

Tomasz Węcki

Stany wyjątkowe

Kiedy zniknął mój długopis, Prezydent ogłosił stan wyjątkowy.

Długopis dostałam od taty na urodziny, więc był zielono-złoty, mimo że wszyscy oprócz mnie widzieli go jako niebieski. Oczywiście ja też widziałam niebieski, taki po prostu niebieski, ale jednocześnie kiedy myślałam o tym konkretnym długopisie, widziałam go jako zielono-złoty, i trochę fioletowy, bo fioletowy to kolor moich notesów.

To był ważny długopis, chociaż oczywiście nie dla Prezydenta. Tak przynajmniej sędzę! Ale był ważny dla mnie. Kiedy nim pisałam lub rysowałam, wszystko miało więcej kolorów. Sam długopis niby był zielono-złoty, jeśli o nim myśleć, i niebieski, jeśli tylko na niego patrzeć – ale jednocześnie potrafił zamienić się w tęczę, jeśli myślałam o czymś innym. Wtedy mogłam zrobić nim wszystko, sięgnąć do dowolnego koloru i przenieść go na papier. Mogłam opowiedzieć każdą historię dokładnie tak, jak się wydarzyła, dokładnie tak, jak ją czułam. Potrafiłam narysować wszystko wiernie, tak jak rzeczywiście to widzę.

Oprócz mnie nikt nie zauważał tęczy. Wedle nich stawiałam tylko czarne znaki na białej kartce. Ale kiedy czytali mój tekst, albo oglądali rysunki – wtedy tęcza i tak wnikała w ich oczy, serca lub głowy. Nawet jeśli nie zdawali sobie z tego sprawy, zaczynali czuć, rozumieć. Odbierali świat w sposób, który wcześniej był dla nich niepojęty.

Krótko mówiąc, długopis był ważny. Żaden inny nie pozwalał mi przywołać tej tęczy, a więc gdy nimi pisałam, wychodziło zawsze to samo – kropki, kreski, zawijasy. Świat przefiltrowany przez te długopisy był podzielony i pozbawiony kolorów. Był płaski jak papier.

Dlatego kiedy ustaliłam, że długopisu nie ma w żadnym z należnych mu miejsc – ani w piórniku, ani w szufladzie biurka, ani przy notesach, ani nawet w ogrodzie – poszłam do taty.

– Co tam, córuś? – Siedział przy ławie. Oderwał wzrok od laptopa i pogłaskał mnie po włosach. Ale jego ręka zaraz wróciła na blat, a podczas rozmowy co chwila zerkał na ekran. Chciał być i tu, i tam.

– Długopis mi się zgubił.

– Sam się zgubił?

– No nie wiem, gdzie jest.

– A gdzie widziałaś go ostatni raz?

– Wczoraj wieczorem, i chyba włożyłam go do piórnika. Ale go tam nie ma.

– Gdzie go używałaś?

– W domu.

– Ale w którym pokoju?

– No w swoim.

Tata chciał iść ze mną poszukać – poczułam to, bo czasem czuję takie rzeczy. Ale jednocześnie nie chciał odchodzić od komputera. W komputerze było coś ważnego.

– Słuchaj... – zaczął jak zwykle zaczyna, kiedy próbuje zebrać myśli. – Mam tu drugi długopis. – Zabrał coś z biurka, nie widziałam co dokładnie. – Tamten był specjalny, bo był ode mnie, prawda? Ten też jest ode mnie. – Wyciągnął ku mnie dłoń, na której leżało metalowe pióro, eleganckie i błyszczące.

– Ale jest inny.

– Ale jest ode mnie.

Pióro nie miało tych kolorów, które powinno mieć. Nie było ani złote, ani zielone – za to mieniło się purpurą i połyskiwało srebrem. Czułam w nim zniecierpliwienie. Spisywano nim przykre rzeczy; rzeczy, które dzieliły świat, stawiały mury, odwracały ludzi od siebie. Nie było moje i chyba nie było tak naprawdę taty. Nie było też prawdziwym darem, bo musiałabym je zwrócić.

– Nie chcę go – powiedziałam.

Ojciec przez chwilę wyglądał, jakby miał zapytać „dlaczego?” – ale znał odpowiedź, bo znał mnie. Spojrzał tylko na pióro jeszcze raz, jakoś bardziej podejrzliwie. Odkładając je na blat, zerknął do komputera. Coś tam zobaczył, coś się zmieniło – i tata nagle rozbłysł mi w oczach złotem.

– Hej! Hej! Są wyniki! – krzyknął w stronę salonu.

– No wreszcie! – odpowiedział mu wujek Roman, który był już u nas, kiedy się obudziłam.

Przybiegł razem z mamą i cała trójka zaczęła wpatrywać się w ekran.

– Dobrze, głosują na tak – komentowali.

– Na razie to tylko prognoza, wstępne ankiety po głosowaniu.

– Ale dobra prognoza.

– Wreszcie, no wreszcie, już się bałam...

– Jeszcze długo do zamknięcia okręgów. Wszystko może się zmienić i zostaniemy z tym, co zawsze...

– A co z moim długopisem? – zapytałam, ale tylko mama zwróciła na mnie uwagę.

– Kotku, co z twoim długopisem?

– Zniknął! Nigdzie go nie ma!

– Możesz wziąć jakiś ołówek? Albo inny długopis z biurka? – pytała, jakby naprawdę nie rozumiała, o co mi chodzi. Była jednak rozpalona ekscytacją, cała w złotych błyskach, podobnie jak tata.

– Nie!

– Kotku... Mama musi zadzwonić do cioci Jadzi. I dokończyć grafiki. Wiesz, dla naszej sprawy.

Ona była złota – ale słowa kierowane do mnie były czerwone z braku cierpliwości, przemieszane z żółtym śladem zawstydzienia.

– No to sama poszukam. – Chciałam odpowiedzieć pogodnym tonem, ale i tak wyszło ze mnie nadąsanie. Dorośli są dużo lepsi w udawaniu, że czują coś innego, niż czują. Czasem sami przed sobą udają, na przykład, że chcą czegoś, czego tak naprawdę nie chcą, albo że są szczęśliwi, kiedy cierpią. To ciągle udawanie sprawia, że zamykają się na innych, na cały świat, a później żyją jak w kokonie albo za murem. Wtedy już przejmują się tylko sobą i własnymi sprawami.

Właśnie dlatego nie rozumieli, jak ważny był mój długopis. Musiałam znaleźć Maćka – on rozumiał sprawy, które nie ciekawiły dorosłych. Poza tym, byłam u niego wczoraj, więc może coś wie?

Zanim wyszłam z domu, sprawdziłam jeszcze raz swój pokój, łóżko i stosik notesów. Oczywiście nic się nie zmieniło – długopis jak był zniknięty, tak zniknięty pozostał.

Maciek mieszkał z matką i ojcem w wiosce. To znaczy, my też mieszkaliśmy w wiosce, ale innej. Rodzice mówili na to eko-osada. Moim zdaniem to brzydkie słowo, bardzo kanciaste, no i przypominające inne słowo, osad, a osad jest czymś, co odkłada się na niewymytych zębach. Ładniej brzmiałoby coś brzmiącego jak „las”, bo mieszkaliśmy wśród drzew, albo jak „rzeka”, bo płynęła tuż obok naszego domu.

Maciek mieszkał w drugiej wiosce, zupełnie zwykłej. Szło się do niej w dół wzgórza przez pola, na których przyjaciele taty co roku sadzili nowe drzewa. Te drzewa na razie były dość małe, wszystkie niższe ode mnie, ale miały rosnać setki lat i nikt nie miał prawa ich wyciąć. Dzięki temu ochronią nas przed katastrofą. Tak twierdzili dorośli, ale kiedy o tym mówili, brzmiali dziwnie – jakby chcieli, abym uwierzyła, choć sami wątpili, czy kilka drzew cokolwiek zmieni.

W sumie – często tak brzmiali. Aż zastanawiałam się, w jak wiele rzeczy naprawdę wierzą, a do ilu chcą sami siebie przekonać...

Droga do wioski minęłaby szybko na rowerze, więc ruszyłam odebrać go od pana Jurka, który potrafił naprawić wszystko. To nie był tak do końca mój rower, tylko wspólny, ale tylko ja go używałam. Przemalowaliśmy go z ojcem nawet na czerwono, żeby się bardziej wyróżniał.

– Dzień dobry. Widział pan może mój długopis? – zapytałam pana Jurka po wejściu na jego podwórko.

– Możesz wziąć któryś z moich – odpowiedział. Siedział w garażu przy otwartych drzwiach i za stołem z narzędziami. Wyglądał jak zwykle, to znaczy inaczej niż wszyscy dzisiaj. Nawet jego żona błyszczała złotem, kiedy za kuchennym oknem opowiadała coś do komórki. Pan Jurek jakby nie przejmował się tym samym, czym przejmowali się pozostali.

– Nie, dziękuję, muszę znaleźć swój – odpowiedziałam, zmierzając do schowka na rower.

– Zrobiłaś już zadanie domowe? – spytał.

– Jeszcze nie. Znalazłam zdjęcia tych świątyń, ale tylko jedną widać dobrze w Google. Mało jest też po angielsku o ich historii. W sumie to nie wiem nawet, jakiemu bogowi hindusi poświęcili jedną z nich. Dostałam tylko adres...

– Adres to dużo! – Zaśmiał się.

– No tak, ale nie mam zdjęcia, nie mam żadnych stron z informacjami, na Wikipedii nic nie piszą. Z takiego jednego forum dowiedziałam się, że tam faktycznie stoi świątynia i że ktoś kiedyś prowadził tam szkołę czy coś takiego. Tylko tyle! No i umiem czytać tylko po angielsku i francusku, a oni tam piszą po tamilsku, i to jakoś dziwnie, bo translator mi wariuje. I teraz chyba będę musiała znaleźć kogoś, żeby mi pomógł. Kogoś, kto mieszka w tamtej okolicy, albo chociaż mówi w tamtym języku.

– Dasz radę.

– W szkole nie musiałam robić takich rzeczy.

– Nie kręci cię wyzwanie?

– Bardziej by kręciło, gdybym sama sobie mogła je wybrać...

– No nie można mieć wszystkiego. Takie życie. Zbierz tyle informacji, ile potrafisz. Napisz mi wszystko, czego się dowiesz. Tylko nie ściemniaj. Chodzi o to, żebyś to zrobiła...

– Uczciwie i samodzielnie, wiem – dokończyłam za niego.

No i wtedy przyszło mi do głowy: czy to naprawdę jest taka samodzielność? Robię to zadanie, bo chcę zobaczyć, jak zmienia się kolor mojego nauczyciela. Chcę zobaczyć dumę ze mnie – z mojego wysiłku i postępów. Bez takiej nagrody sama z siebie nie zabrałabym się za szukanie informacji o jakichś budynkach na drugim końcu świata. Więc jak to jest – czy rzeczywiście uczę się samodzielności? Radzenia sobie?

Czy po prostu, tak jak wcześniej w szkole: uczę się czegoś, co wybrał dla mnie ktoś inny? Wykonuję polecenia, idę za kimś, pozwalam się prowadzić...

Chciałam o to zapytać, ale dotarłam do skrytki na rowery. W której nie było mojego.

– Ale gdzie jest... – krzyknęłam do nauczyciela, ale przerwał mi:

– U Michała!

– Dlaczego?

– Dziewczę nadobne, u mnie te rowery się tylko naprawia. A ty zostawiasz mi go od pół roku, bo masz dwa kroki bliżej do domu.

– Ale...

– Wszyscy ustaliliśmy, że tam jest punkt wymiany. Co jeśli ktoś będzie chciał skorzystać z tego roweru, kiedy ty go nie używasz? Musiałby wiedzieć, że rower jest akurat u mnie.

– Ale tylko ja go używam.

– Na razie, bo jest więcej rowerów niż chętnych. Ale niedługo wprowadzą się do nas nowe rodziny, i co wtedy? Będziesz rower dalej odkładać tylko dla siebie, żeby inni nie używali?

– Nieee-e...

– No właśnie, sama nie wiesz. – Zauważył niepewność w moim głosie. – Idź do Michała i tam zostawiaj rower.

Powiedział to surowo, ale bez złości, więc kolor słów był dziwnie przyjemny. Ktoś mógłby pokolorować w ten sposób miecz w kreskówce, albo ostry nóż w książce dla małych dzieci. Dorośli rzadko tak się do mnie zwracali. Jeśli już byli surowi, podszywali to gniewem.

Nie byłam pewna, jak zareagować. Surowy ton to groźba, tylko że nie zawarta w słowach. Ale co pan Jurek mógł mi zrobić? Nakrzyczeć? Odnosić rower gdzie indziej? A co gdybym go zabierała do domu, czy ktokolwiek by mi coś powiedział?

W sumie – dlaczego to tak naturalne, że dziecko ma być posłuszne starszym? Bo są mądrzejsi i wiedzą więcej? Czy po prostu dlatego, że zrobią awanturę? Zabiorą zabawki? Nie dadzą jeść – i umrzesz? No raczej nie.

Myślałam o tym w drodze do domu pana Michała, który uczył mnie matematyki. U nas wszyscy dorośli byli w czymś dobrzy i chcieli uczyć. Na przykład dziewczyna Michała, pani Kasia, często zabierała mnie na pola wokół wioski, albo do lasu, i tam opowiadała o roślinach. W domu miała mnóstwo egzotycznych kwiatów, takich, które nie wyrosłyby na dworze. Natomiast przed drzwiami uprawiała ogródek pełen dziwnych krzaków i wielkich liści.

Plewila właśnie grządki, kiedy podeszłam.

– Dzień dobry.

– Cześć, mała – powiedziała łagodnie. – Jaki mam dzisiaj kolor?

– Błękitny. Jak niebo.

– O, bardzo pięknie.

Jej barwy czasem zmieniały się szybko, ale nigdy nie były intensywne. Była wiecznie pastelowa. Tylko ona miała tak dziwnie – ze wszystkich ludzi, których znałam.

– Pani Kasiu, gdzie jest mój rower?

– Powinien być tutaj obok.

– Nie ma go.

– Musi być... No nigdzie indziej ich nie dajemy... – zapewniła, ale rower się od tego nie pojawił. Obok furtki stały tylko trzy zwyczajne, pomalowane jak wszystkie, na niebiesko.

– No nie, najpierw mój długopis, teraz mój rower. Wszystko się dzisiaj gubi.

– Bardzo mi przykro, kochanie. Może jest u Jurka?

– Nie, właśnie u niego byłam. No nic, pójdę do wioski na piechotę.

– O! Do wioski. Pomóż mi z tymi kwiatami i pójdziemy razem. Muszę kupić kilka rzeczy w sklepie.

Lubię kwiaty – tak w ogóle. A ogródek pani Kasi lubię szczególnie, zwłaszcza latem, kiedy rośliny są największe i najbardziej kolorowe. Na razie widać było tylko listki, maleństwa, o które trzeba zadbać. To również lubię – dbać o coś, a później patrzeć jak rozkwita.

Zgodziłam się i uwinęłyśmy się szybko. Później poszłyśmy do łazienki umyć ręce, a pani Kasia jeszcze postanowiła się przebrać. Pół godziny później byliśmy już w drodze.

Najpierw minęliśmy wspólnotowe pola kukurydzy, później rząd szklarni, później panele słoneczne, magazyn, i znów panele. Aż wreszcie otoczyły nas wysokie sosny. Osada miała bardzo ludzkie kolory. Sztuczne i krzykliwe. Pomiędzy drzewami wszystko się wyrównywało, wracało do łagodnej zieleni.

Kasia wybrała nieco okrężną, ale ładniejszą ścieżkę przez stuletni bór. To z jego powodu się tutaj osiedliliśmy, a przynajmniej tak twierdził tata. Mamy odnowić więź z naturą – i ratować ten konkretny las przed wycinką.

– Jak ci się podoba nauka w tym roku, ten cały nasz homeschooling? Jest lepiej niż w szkole?
– spytała moja towarzyszka.

– Może być – odparłam, bo w sumie nie wiedziałam, co powiedzieć. Z jednej strony, wszyscy się bardzo starali i tłumaczyli materiał o wiele lepiej od nauczycieli. Ale z drugiej strony...

– Co ci się nie podoba? – spytała Kasia.

– Szkoła to nic ciekawego, ale miałam więcej koleżanek.

– Ach, no tak... Jesteś pierwszą nastolatką w osadzie. W przyszłym roku będzie lepiej. Jeśli się uda, wprowadzą się do nas dwie nowe rodziny, obie ze starszymi dziećmi.

– Ale to nie tylko to... To znaczy, właściwie jak jest teraz też mi się podoba. Jak jestem sama też jest dobrze. Inaczej, ale dobrze.

– Tak?

– No i Maciek jest fajny. Można z nim pogadać. – Bardziej niż z dorosłymi, którzy wielu rzeczy nie rozumieją. Maciek co prawda też nie zawsze rozumie, ale przynajmniej słucha i traktuje moje słowa poważnie. Tego jednak Kasi nie powiedziałam.

– Maciek to ten z wioski?

– Tak. Jest spoko.

– Czyli jest lepiej?

– Tylko zadania domowe dostaję bardzo trudne. – Przypomniało mi się, że wczoraj cały wieczór spędziłam na szukaniu informacji o indyjskich świątyniach. – Właściwie... no, dlaczego tak ma być?

– Czemu dostajesz zadania domowe? Żeby zwiększyć twoją samodzielność. Żebyś umiała sobie poradzić bez nadzoru nauczyciela.

– Samodzielność. Hmm. To czemu nikt mnie nie pyta, jakie zadanie chciałabym dostać?

– Bo byś wybrała najłatwiejsze.

Pani Kasia uśmiechnęła się, jakby mnie na czymś przyłapała.

– Nieprawda – odpowiedziałam. – Wybrałabym takie, które najbardziej chcę zrobić.

– I rozwijałabyś się tylko w tym kierunku, który jest dla ciebie przyjemny. Czyli łatwy.

– Od kiedy to źle? Czy ja muszę być mistrzem we wszystkim?

– Nie, nie musisz być mistrzem. Ale są rzeczy, które musisz opanować dobrze. Inaczej będzie ci trudno odnieść sukces w świecie, albo nawet żyć samodzielnie.

– Dlatego muszę najwięcej czasu poświęcać na to, co przychodzi mi najtrudniej? Na przykład, matematykę?

– No... do pewnego poziomu, tak.

– To samo mówili mi w szkole.

– A, tam miałaś zajęcia przez pół dnia, program przeładowany głupotami, więcej godzin religii niż biologii. No i nauczycieli, którzy pracowali tam chyba z musu.

– Ale mówili dokładnie to samo: że muszę nauczyć się tego, co wiedzą wszyscy, inaczej sobie nie poradzę.

– To akurat prawda i tego nie przeskoczymy. Ludzie nauczyli się wielu niesamowitych rzeczy w trakcie swojej historii. Wielu rzeczy się dowiedzieliśmy i dzięki temu potrafimy, na przykład, budować komputery, albo latać samolotami. Albo, właśnie – pokazała ręką wokół siebie, na otaczające nas drzewa – wiemy, jak zachowuje się przyroda, a więc możemy wreszcie działać z nią w zgodzie, a nie przeciw niej. Więc musisz wiedzieć to, co już wiadomo. Właściwie to powinnaś wiedzieć więcej niż to, co wiedzą wszyscy. Po to Jurek dał ci takie trudne zadanie, żebyś umiała lepiej, nauczyła się więcej, a potem żebyś mogła zdobywać nową wiedzę jeszcze łatwiej.

– Dlaczego?

– Im więcej wiesz, tym łatwiej podejmować mądre, rozsądne decyzje. A my chcemy, żebyś miała jak najlepiej, kochanie, żebyś myślała sama za siebie, sprytnie i racjonalnie, a nie układała sobie życie na podstawie jakichś bzdurek, które ci ktoś w kółko powtarzał.

– Czy to nie jest coś, co ktoś mi ciągle powtarza?

– Co?

– Naprawdę to samo słyszałam od nauczycieli w szkole. Jeśli będę wiedzieć to, co wszyscy wiedzą, i umieć liczyć tak samo dobrze jak każdy, to wygram w życie. Jakby więcej tego samego miało nagle wszystko zmienić.

– My nie dajemy ci więcej tego samego. Nasze metody są zupełnie inne.

Chciała coś dodać, ale przeszkodził jej sygnał przychodzącego SMS-a. Wyjęła telefon i na moment zniknęła w lekturze.

Powitałam przerwę z ulgą, bo już mnie męczyła ta rozmowa. To samo mówili mi inni z osady. To samo słyszałam i od księdza, kiedy jeszcze chodziłam na katechezę, i od pani psycholog, kiedy – dawno temu – mama mnie do niej wysyłała. Dorośli zawsze mają najlepsze intencje, zakładając jednocześnie, że tylko ich punkt widzenia jest słuszny. A więc oczywiście, że muszę się nauczyć patrzeć na świat tak samo, jak oni patrzą. Nikt nie jest zainteresowany tym, co tylko ja umiem, nie tak naprawdę. Nawet pani Kasia, choć pyta mnie o kolory, albo o moje sny, albo o przeczucia – wcale nie chce ich rozumieć. Dla niej to tylko dziwactwo. Przepraszam: wyjątkowa cecha, indywidualność, bo akurat ona nie nazwałaby mnie brzydkiem. Ale ta moja inność ma dla niej znaczenie takie samo jak barwa włosów czy krzywy nos. To coś pozornego. Coś, czego wręcz wypada nie zauważać.

Żeby zaimponować pani Kasi, musiałabym się nauczyć nazw wszystkich roślin z herbarza, wykuć morfologię rozwielitki, a na koniec pokazać, jak sprawnie korzystam z biblioteki.

Dzięki kolorom, które widzę, umiem zupełnie inne rzeczy. Łatwiej zgaduję, o czym ludzie myślą i co czują. Kiedy mam wybrać ścieżkę w lesie, kolory pokazują, która z nich będzie ciekawsza. Jeśli coś ma się stać, na przykład dziki przebiegną, albo samochód przyjedzie, to wiem o tym – bo zauważam zmianę kolorów przed zdarzeniem.

Kiedy patrzę na zdjęcie człowieka, od razu rozpoznaję po barwie w jego oczach, czy jeszcze żyje, czy jest martwy.

Nikt nie potrafi podobnych rzeczy, ani nikt nie umie moich zdolności wyjaśnić. Mają na to nazwy – jak „synestezja” – ale nazwanie jeszcze bardziej oddala ich od zrozumienia. Bo nazwane znaczy znajome, więc po co się wgłębiać? Dorośli otwierają się na mnie dopiero kiedy mówię o tym, co już wiedzą. Tylko wtedy moje słowa są dla nich ważne.

Inaczej bywa tylko jeśli używam swojego długopisu. Dzięki niemu moje słowa czasem, tylko czasem, skłaniają innych do słuchania dogłębnie i patrzenia naprawdę, a nie tak jak zwykle, na niby.

– Hej, co to znaczy „zamachy”? – Pytanie Kasi wyrwało mnie z zamyślenia. Spojrzałam na nią, ale nie mówiła do mnie. Przy uchu miała telefon, a na twarzy wyraz zakłopotania.

– Ale kiedy? – pytała, czekała na odpowiedź, pytała ponownie: – I co teraz?

Nie słyszałam dokładnie słów rozmówcy, ale rozpoznałam głos jej partnera, pana Michała.

– O matko... Co teraz z naszą sprawą? – Kasia zadała ostatnie pytanie i odpłynęła z niej wszelką siłą, kiedy usłyszała odpowiedź.

– Co się stało? – Poczekałam, aż skończy połączenie.

– Były dwa zamachy na urzędy, w których głosowano w referendum... Bomby... Podobno już złapali sprawców. Jeden z nich jest z naszej sieci...

Kasia zdała relację z niedowierzaniem, jakby powtarzała ją dla siebie w równym stopniu co dla mnie. Nawet teraz jej kolory nie były intensywne. Zamiast soczystych emocji, wstrząsu, złości – było tylko blade zwątpienie i szary niepokój.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, aż zza drzew wyłoniły się pierwsze budynki wioski.

– Załatwmy wszystko szybko, co? – zaproponowała cichym głosem. – Dobrze?

– Muszę tylko zapytać Maćka o mój długopis...

– No właśnie, ja tylko skoczę do sklepu i spotkajmy się za dwadzieścia minut tutaj, dobrze?

Kasię powoli ogarniał strach – robiła się fioletowa, a w oczach wybuchły jej czarne iskry. Nie chciałam być dodatkowym zmartwieniem, więc zgodziłam się i poszliśmy w dwie strony.

Maciek będzie musiał się streszczać. Sama będę musiała się streszczać. Prawdę mówiąc, i tak miałam nadzieję, że po prostu ma mój długopis; że przyszedł z nim do niego wczoraj, zapomniałam zabrać i teraz jest gdzieś u niego.

Dom przywitał mnie dziwną mieszanką kolorów – jakby miał dosyć. Jakby wszyscy, którzy w nim mieszkają, i którzy karmią jego duszę własnymi myślami, postanowili się najpierw rozedrzeć na kawałki, a później rozejść we wszystkie strony świata.

Zapukałam do drzwi i po chwili otworzył mi Maciek – niebieskooki chłopak w moim wieku. Był zaniepokojony: ciemne kolory zwiślały mu jak kurtyna przed twarzą.

– No i przyszedł w najgorszym momencie. Tak myślałem, że przyjdiesz – powiedział.

– Czemu? Masz mój długopis?

– Co? Nie. Ojciec znowu pieprzy. Chodź na podwórko.

Zerknęłam do środka, do salonu. Tam na kanapie rozwalił się pijany czterdziestolatek w podkoszulku. Bełkotał coś niezrozumiale do telewizora, na którym leciał program o politykach albo może wiadomości.

– Kto przyszedł?! – krzyknęła z kuchni matka.

– Nikt! – odkrzyknął Maciek i pociągnął mnie na podwórko. Nie było duże, więc ciągle słyszeliśmy, co dzieje się w domu: jak matka krzyczy później na ojca, na co ten podgłaśnia telewizor.

– Starych znowu porąbało – wyjaśnił Maciek. – Ojciec najebał się z samego rana, więc matka go wyzywa. Od kiedy wstałem, schodzę im z drogi. Wspaniały weekend.

– Chcesz pójść do nas?

– Jakoś przeżyję. Poza tym, i tak lepiej nie. Słyszałaś, co się stało?

– Co?

– No jakiś zamach. W telewizji najpierw gadali w kółko o tym waszym referendum, żeby drzewa ratować, a teraz gadają, że jesteście terroryści.

– Że co?!

Jakby na potwierdzenie, telewizor zaczął grzmieć głosem Prezydenta:

– Niniejszym wprowadzam stan wyjątkowy do czasu wyjaśnienia sytuacji. Nie możemy narażać życia obywateli, którzy mogliby udać się do lokali, więc referendum również zostanie zawieszona. To jedyna odpowiedzialna rzecz, którą można zrobić. – Mówił jeszcze więcej, w ten sam desień, ale słowa miały dla mnie coraz mniejsze znaczenie. Słuchałam go z rosnącym uczuciem, że śnię.

Nawet kolory świata zmieniły się na inne, jakieś nieznane. Wszystko nagle było ciemniejsze, zabarwione niepokojem. Ten niepokój chował się za drzewami, ochładzał światło słoneczne i wypełniał głowę ciśnieniem.

– Na pewno nie chcesz iść do nas? – powiedziałam do Maćka, w myślach dodając: tam jest bezpiecznie. Tam wszystko ma barwę lasu, i barwę rodziny. To inny świat od tego, w którym się teraz znalazłam.

– Nie, matka lata jak osa. Jak zrobię coś takiego, to już mnie zabije. Mówię: wy teraz jesteście najgorsi terroryści. W wiadomościach przecież mówili.

– No przecież to jest straszne... – Łzy napłynęły mi do oczu, sama nie rozumiałam dlaczego tak nagle. – To wszystko jest straszne. Wszystko. Nie widzisz?

– Dzień jak co dzień... – zaczął nonszalancko, ale przerwał mu głos matki:

– Ej! Ejże! – Stała w drzwiach i wpatrywała się we mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Maciek! Do domu! Natychmiast!

Dla chłopaka takie żądania okazały się zbyt wysokie. Czerwień buntu wypłynęła z jego serca.

– Nie! – odkrzyknął.

– Co ci mówiłam o gadaniu z nią?

– Będę rozmawiać z kim chcę.

Matka ruszyła w naszą stronę. Miała dziwne kolory – mroczne jak wszystko teraz – ale im bliżej podeszła, tym lepiej widziałam, że jej gniew jest pozorem. Tak naprawdę była wystraszona.

– Do domu, natychmiast! – chwyciła Maćka za ramię. – A ty! Nie pokazuj się tutaj więcej!

– Dlaczego? – Łzy płynęły mi po policzkach.

– Wracaj do swoich.

– Ale co ja zrobiłam?!

Wyprostowała się, jakby zbierając myśli. Po czym wypaliła:

– A co ja zrobiłam? Powiedz mi, co ja zrobiłam?

– Nie wiem...

– Zasłużyłam sobie na was wszystkich?!

– Proszę przestać...

– Idź do swoich! Zrobiliście już wszyscy wystarczająco dużo. Idź sobie!

– Zostaw ją, matka! – Usłyszałam Maćka, ale przez łyżę już go nawet nie widziałam. Nogi same popędziły z powrotem na drogę, a później do lasu. Tam ukryłam się w krzakach – jak małe zwierzątko. Ukryłam się i płakałam. Dopiero kiedy zobaczyłam Kasię idącą w moją stronę, otarłam oczy i wyszłam do niej.

– Hej! – zawołała do mnie. – Co się stało? – dodała, kiedy podeszłam.

Sama jednak nie wyglądała dobrze. Mroczne kolory, które rozlały się na świat, wlały się też do jej serca i głowy.

Każda emocja ma swoją barwę, każda myśl to odcień. Kasia była coraz bardziej szara z rezygnacji, czarna z rozpacz. Jej tęczkowe pastele łatwo poddawały się nowemu nastrojowi.

– Pokłóciłam się... – odpowiedziałam.

– Z Maćkiem?

– Z jego mamą.

– Ale o co poszło?

– Chodźmy już. Chodźmy już do domu.

Być może było coś w moim głosie, a być może – już w sercu pani Kasi. Być może uznała, że to nie moment na opowieści. Być może sama się z kimś spięła. Nie zapytała mnie o nic więcej, tylko skinęła głową.

– Chodźmy – powiedziała. – Mam tę pyszną herbatkę z liści malin. Zrobię nam. Usiądziemy, odpoczniemy, pogadamy o czymś przyjemnym... Słuchaj, co to za ptak?

– Który? – spytałam. Rodzina Maćka ciągle wirowała mi przed oczami.

– Tam – wskazała palcem między gałęzie. – Ten, co dziwnie śpiewa.

– Słowik? Szpak? – Faktycznie, na pniu drzewa zaczepił się szarobury ptaszek, który wyśpiewywał zmienną melodię. Raz słyszeliśmy skomplikowane trele, żeby zaraz usłyszeć skrzeczenie kruka, a później gruchanie gołębia.

Kiedy ta pieśń zamieniła się najpierw we dźwięk rozgrzewanego silnika, a później w nagły klakson – Kasia wybuchnęła śmiechem.

Natura zawsze oczyszcza kolory. Może nie zamienia wszystkiego w tęczę, ale usuwa to, czego jest w nadmiarze. Szliśmy więc drogą do domu, łykając ptasi śpiew jak odtrutkę.

Aż przerwał nam odgłos prawdziwego silnika i kół toczących się po leśnej drodze. Zielona terenówka nadjechała od strony wioski i zatrzymała się tuż przy nas.

– Wsiadajcie! Podwiozę was!

Wąsaty mężczyzna w środku nosił mundur straży leśnej. Uśmiechał się życzliwie i w ogóle starał się sprawić wrażenie miłego – ale to tylko pozór. Jego oczy były jak dwie studnie. Jego aura ściągała na ziemię i ścisnęła za serce. W tamtym momencie, kiedy obie na niego spojrzaliśmy, nie było w nim wiele więcej oprócz wygłodniałej pustki.

Ale to widziałam tylko ja. Pani Kasia uśmiechnęła się do mężczyzny w odpowiedzi.

– Jedzie pan do naszej osady?

– Jadę na patrol, ale to po drodze. A takie dwie piękne panie nie muszą chodzić same po lesie.

Było coś oślizłego w tym wszystkim. Robak pełzający w resztkach; pleśń pozerająca moką ścianę.

– Czy my się spotkaliśmy? – spytała Kasia po chwili namysłu.

– Widzieliśmy się w sklepie.

– Ach! Tak, racja, pamiętam.

– Proszę wsiadać!

– Nie! – powiedziałam, kiedy Kasia zaczęła już wchodzić do auta.

Facet spojrział na mnie z dziwnym błyskiem w oku – czarnym, zimnym, złym.

– Dlaczego nie? – spytała tymczasem Kasia, zupełnie nieświadoma macek wijących się wokół kierowcy. Dla niej wysyłał tęczę, ale była to tęcza fałszywa, kolor tylko na pozór. Wszystko, co pod maską, wiło się i szperało; lodowaty dotyk na mojej skórze.

– Bo to zły pomysł.

– Daj spokój, dziecko. Daj już spokój. – Coś przestawiło się w kolorach pani Kasi. – Daj już spokój i wsiadaj. Natychmiast.

Teraz jej aura była echem czegoś innego, jakiejś innej osoby. Kogoś, kogo znała bardzo dobrze, ale dawno temu, tak dawno, że prawie zapomniała – choć wcale nie zapomniała. Tamta osoba rozgościła się na chwilę w pastelowym świetle Kasi, w ogrodzie jej twarzy żłobiąc dodatkowe rowki i siejąc zmarszczkami.

– Wsiadaj – powtórzyła. Dotarło do mnie, że sama pojedzie i tak, nawet jeśli miałyby mnie zostawić przy drodze.

Dopiero po tym rozpoznałam jej kolory: Kasia czuła się winna, jakby naprawdę coś przeskrobała. Czuła, że zasługuje na karę. Coś w niej, jakaś część jej osoby, rzuciłaby się na pierwszą okazję, aby karę faktycznie otrzymać. Sprowokowałaby taką sytuację, gdyby nie dostała jej na czas od losu.

Bez słowa usiadłam na tylnym siedzeniu, zapięłam pas i zamknęłam drzwi.

Facet ruszył.

– To pani córka? – zapytał, z uśmiechem zerkając na mnie w lusterku.

– Nie – odparła Kasia zaskakująco hardo i dopiero wtedy zorientowała się, że nie jest sobą. Być może odgrywała kogoś ze swoich dawnych nauczycieli. Być może była ojcem. Być może własną matką. Osoba, którą kiedyś знаła, cofnęła się jednak, zwracając Kasi jej własne kolory.

– Nie jest moją córką, jest moją uczennicą, prawda? – Spojrzała na mnie. Nie była pewna jak się zachować, żeby wrócić na znajome wody. Mówiła mi kiedyś, że sami siebie nie znamy, że wiemy tylko tyle, ile nas sprawdzono. Teraz przeżywała tę prawdę na własnej skórze i ku swojemu zaskoczeniu.

Nic jej nie odpowiedziałam. Czekałam na ruch faceta.

– Ale się porobiło – powiedział. – Z tymi zamachami, znaczy się. I stanem wyjątkowym.

– Tak... – przyznała automatycznie Kasia.

– A wam dobrze się żyje w lesie?

– Tak, bardzo. Dużo lepiej niż w mieście.

– Dlaczego?

– Jesteśmy bliżej natury. Jesteśmy spokojniejsi. Zdrowsi. Nie wdychamy smogu i innych wzięwów... Hmm? Do naszej osady tutaj się skręca...

– Prawda, ale mi nie po drodze. Wysadzę was dosłownie kawałek obok.

– Tu jest tylko jedna droga. Nie ma innej...

– Nic nie szkodzi.

– Gdzie pan nas wiezie...?

– Nigdy nie byliście zainteresowani niczym poza wami samymi, prawda?

– Co?

– Wynieśliście się z miasta, żeby się odizolować. I zbudować coś tylko dla siebie. Zagarnąć kawałek ziemi, oddzielić się od reszty.

Kasia milczała.

– Kupiliście wielki kawał lasu i zabraniecie ludziom do niego wchodzić. Piszecie skargi i petycje do wszystkich dyrektorów i ministrów. Przeszkadzacie myśliwym w polowaniach. Na dziki. Pieprzone dziki, które ryją po polach. Ale jak budowaliście te swoje domki, to sprowadziliście ekipę spod Warszawy, bo miejscowi niegodni, prawda?

Wcale nie jechaliśmy teraz w stronę osady – oddalaliśmy się od niej, coraz głębiej w las.

– No teraz to już się wam nie upiecze – stwierdził facet. – Teraz to już macie przerąbane. Po takim wysoku, zamach, terror... Teraz zobaczycie, gdzie wasze miejsce.

Zatrzymał samochód.

– Wysiadać! – Wyciągnął pistolet z kabury, i choć nie skierował lufy na nas, mógł to zrobić w każdej chwili.

Kasia patrzyła na to wielkimi oczami sześciolatki. Wykonała polecenie pośpiesznie i ze zdumieniem, jakby wydał je dorosły małej dziewczynce. Ja również wyszłam, stanęłam koło niej.

– Małe dziwki. – Koleś nakręcał się. Był gruby i niski, na pewno nie wyższy od Kasi, ale wydawało mu się, że został królem świata, albo przynajmniej wygrał na loterii.

– Co teraz się stanie, waszym zdaniem? No? Co teraz z wami będzie?

Powoli wycelował pistolet w głowę Kasi, jakby chciał tym podkreślić swoje pytanie.

– Co teraz? – powtórzył.

– Nie! – Kasia skuliła się. – Już nie będę! Już nie będę! – zaczęła krzyczeć, a jej barwy wreszcie wybuchły żywo i przerażająco.

– Zostaw ją! – wrzasnęłam i weszłam między nich.

Mój krzyk to też kolory – wściekłe i mocne. Wcisnęłam je razem z dźwiękiem do głów obu dorosłych. Aż drgnęli.

– Koniec tego! – wydarłam się na faceta. Widziałam, jak pod wpływem moich barw ustępuje jego czerń, jak robi miejsce na zimny wstyd. Chciałam zmienić grę, w której utknęła Kasia, wytrącić wszystkich z równowagi, ale nie wiedziałam jak. Moimi słowami musiały więc pokierować kolory.

– Tak? Strzelisz? To strzelaj do mnie. Strzelaj! – Mówiłam jak nie ja, jakby coś we mnie wstąpiło.

– Dziewczyno, zejź mi z drogi. – Facet zaczął tracić rezon. Jego ton był lekceważący, ale przejrzałam tę maskę na wylot.

– Nie, nie schodzę! Jesteś taki mocny, to strzelaj!

Patrzył na mnie zmieszany, w końcu krzyknął do Kasi:

– Tutaj nikt was nie chce. Przyjdziemy po was.

Schował pistolet, wrócił do auta i ruszył.

Patrzyłam jak znika za drzewami. Kasia drżała na klęczkach, chwytając się mojej sukienki. Wreszcie, kiedy już nawet nie słyszeliśmy silnika, wybuchła płaczem.

Kolory wylewały się z niej żywym potokiem, rozrywając skorupę, którą z takim mozołem budowała. Widziałam w nich echo wielkiego strachu, echo żalu, złości i niemocy. Widziałam razy wymierzone przez ojca, chłód odległej matki, pogardę rówieśników. Krzywdę, która rodziła krzywdę, która rodziła krzywdę. Widziałam wstyd Kasi, po tym jak odreagowywała swój ból na bliskich. Widziałam ulgę i satysfakcję, z jakimi raniła siebie samą.

Gdyby tylko rozebrała się przede mną, byłaby mniej naga niż teraz. Wpatrywała się w moje oczy z desperacką nadzieją. Być może odpuszczę jej grzechy? Być może wyzwolę ją od niej samej?

Ale co mogę zrobić? Co niby mam jej powiedzieć?

– Musimy wracać – stwierdziłam, ale chyba mnie nie usłyszała. Musiałam ją podciągnąć, żeby wstała, a później prowadzić za rękę, żeby wiedziała, którądy iść.

Kasia szlochała przez całą drogę. Uspokoila się dopiero gdy zobaczyliśmy nasze domy. Przyspieszyła wtedy i zawołała do męża, który stał na podwórku. Podbiegła do niego, zaczęła opowiadać przejętym głosem. Wkrótce robiło się wokół nas pełno. Co chwila ktoś pytał „czy ci nic się nie stało?”, a Kasia powtarzała w kółko tę samą historię.

Z każdą osobą, która ją usłyszała, w świecie zwiększała się ilość czarnego. Czarne krążyło między sercami, gasiło kolory, wypełniało świat ponurą szarością.

– Mówiłem, że tak to się skończy – mądrzył się jeden z dorosłych.

– Co za barbarzyńcy żyją w naszym kraju – rozpaczal inny.

– Musimy coś zrobić. Wezwać policję? Może policja nam pomoże?

– Policja? Mówiłem, trzeba było załatwić broń i ćwiczyć się w strzelaniu przynajmniej raz w tygodniu. Sam hałas da im do myślenia.

– Musimy się od nich odgradzić... zbudować mur...

– Teraz trzeba będzie wychodzić do nich w grupie, z obstawą.

– Wystawić strażników...

Mówili tak i mówili, ale nie byli świadomi, że mówią prosto z ciemności, która zagościła im w sercach. Każdemu z osobna wydawało się, że rozumuje, dochodzi do jakichś wniosków, dzieli się nimi. Ale żaden z nich nie umiałby teraz wyjść poza mrok, szarość i zimno. Żaden nie powiedziałby niczego mądrzejszego niż ciemność. To właśnie ten kolor rządził, ten kolor ustalał im wszystkim przeznaczenie, prowadził na ścieżkę, na której mogli stworzyć tylko więcej czerni.

– Na pewno są inne rozwiązania – powiedziała im, choć dobrze wiedziałam, że nikt mnie nie posłucha.

– Jakie?

– Nie wiem. To wy jesteście dorośli.

– Dziecko, ty się nad tym nie głów – usłyszałam lekceważący ton. Ten sam, którego użył facet w lesie.

Chciałam im powiedzieć – to, że nie są czegoś świadomi, i to, że jeśli wszystko zobaczą jasno, podejmą lepsze decyzje. Uciekną z ciemności, na którą reagują automatycznie, a nie jak ludzie panujący nad swoim losem. A jeśli sami uciekną, znajdą też sposób, aby każdy wygrał, i nasza osada, i ludzie z wioski, może nawet Prezydent. Chciałam to wszystko wyjaśnić, ale słowa grzęzły na języku. Kolory mieszały mi się w głowie; każdy chciał opowiadać po swojemu.

Czerwony krzyczał mi pod skroniami, aby patrzeć w stronę nadziei, w stronę światła, w stronę pasji. Krzyczeć, tak jak on, do ludzi. Zawracać ich wzrok siłą – aby spojrzeli wreszcie na piękno świata.

Niebieski mówił o tym, że wszyscy jesteśmy podzieleni w naszych wnętrzach. Każdy nosi w sobie po kilka osób, nawet jeśli nie zdaje sobie z nich sprawy. Inna osobowość przejmuję człowieka, gdy jest owładnięty gniewem, inna – gdy pochłonięty rozpaczą. Jeszcze inna, gdy się cieszy lub gdy się upił. Czerń przywołuje więc osobowość strachu, mrocznego wojownika, który podejrzewa wszystkich o zdradę. To nie jest jedyna możliwa perspektywa dla świadomości, więc analizując siebie, można wyjść poza nią – do czego Niebieski spokojnie namawiał.

Zielony opowiadał o porzuceniu iluzji, uwolnieniu się od separacji. O patrzeniu z perspektywy wielu par oczu, a nie tylko swojej własnej. O tym, że jesteśmy powiązani ze wszystkim, a wszystko odbija się w nas, jako na górze, tak i na dole. Głosem starca snuł opowieść, w której drzewa i skały były mądrzejsze od ludzi, wszechświat istniał przed nami i będzie istnieć po nas, a życie odradza się po każdym kataklizmie. Opowieść, która przywracała człowieczym sprawom należne im miejsce.

Fioletowy mówił o odwadze w obliczu przeciwności, o śmiałych czynach i o wynikającej z nich chwale.

Żółty o odkrywaniu radości w drobnych rzeczach.

Różowy o ucieczce.

Biały o czystości i umiarkowaniu.

Brązowy – o tym, żeby się wreszcie poddać!

Jak miałam pogodzić te głosy? O czym miałam mówić?!

Gdybym znalazła długopis na czas, nie miałabym tego kłopotu. Długopis pomagał właśnie w takich sytuacjach. Dzięki niemu kolory układały się w zgrabną tęczę, a później w pismo i mowę, które wszyscy rozumieli.

– Hej, kochanie. – W końcu obok znalazł się tata. Objął mnie, uściśnął mocno, a później poprowadził do domu.

W salonie mama rzuciła mi się na szyję. Tuliła, głaskała. Pytała o to, czy wszystko w porządku i co się dokładnie stało. Najłatwiej było mi opowiedzieć historię słowami Kasi, czyli bez wspomnienia o kolorach – i w sumie bez mojej perspektywy.

Kiedy jednak to zrobiłam – przekazałam słowa Kasi – mama przejęła się jeszcze bardziej. Zaczęła się kłócić z tatą, że puścił mnie samą, jakby to była jego wina, albo jakby ktokolwiek mógł wiedzieć, co się stanie. Próbowałam im przerwać, ale oczywiście znów nikt mnie nie słuchał. Dopiero wujek ich uspokoił, kiedy wyszedł z biura taty.

Tam, na biurku, stał laptop, na którym leciały jakieś wiadomości, przebitki scen zamachów, fragmenty przemówienia prezydenta. Wujek zostawił za sobą otwarte drzwi, więc dźwięk z komputera najpierw zmieszał się z kłótnią, a później ją zdominował. Przez to tym jaśniej widziałam: to przecież nie była mama, ani jej zwyczajne reakcje – to ciemność mówiła przez nią,

powodowała jej niepokój. Gdyby wszyscy potrafili spojrzeć poza nią, poza wzór, w który wpadli i powtarzają bez refleksji...

– Przestańcie! – krzyknęłam do nich, ale kiedy zwrócili na mnie uwagę, słowa nagle ugrzęzły mi w gardle. Tupnęłam bezsilnie nogą; tylko na to było mnie stać. Odwróciłam się plecami i uciekłam na podwórko.

Po jakimś czasie dołączył do mnie tata. Usiadł obok, na zwałonym pniaku, z którego zrobiliśmy ławkę.

– Źle robicie. Wszyscy – powiedziałam mu.

– Co robimy źle?

Jak to miałam wyjaśnić? Nic by nie dotarło, nawet do taty, który zwykle starał się mnie słyszeć. Pomiedzy kolorami rozgorzała dyskusja, co mówić, a z mojej rosnącej desperacji wypłynęły słowa:

– Kłamiecie cały czas.

– Kłamiemy? Jak to?

– Kłamiecie, że wiecie, co robić. Kłamiecie, że widzicie siebie, że jesteście mądrzy, że rozumiecie świat. Ale jak coś się dzieje, to potraficie robić tylko to samo, co wszyscy. Wpadacie w taką samą reakcję, bez zastanowienia. Nie myślicie. Właśnie, nie myślicie, tylko reagujecie, i jeszcze wydaje się wam, że to jest wszystko, że tak trzeba, że to właśnie jest mądre. Nie jest! Nie! To jest prosta droga do tego, żeby cały czas popełniać te same błędy, cały czas w kółko, a później zwałać na kogoś innego, że to jego wina, bo przecież nam przeszkadzał, zamiast widzieć w nas geniuszy. To jest głupie, strasznie, strasznie głupie!

– Wow... No tak... To jak mamy robić, żeby nie robić źle?

– Ja mam wam powiedzieć?! Przecież to wy uczycie mnie życia!

Rozplakałam się. Tata przytulił mnie i głaskał po plecach, aż było mi lepiej.

– Nie potrafię wam tego wyjaśnić tak, żebyście naprawdę zrozumieli. Rozumiecie tylko głową. Musicie rozumieć i widzieć sercem. – Bezsilność niemal przygniatała mnie do ziemi. Bo tego też nikt nie zrozumie; kiwnie głową, stwierdzi, że już to wiedział, gdzieś już słyszał, i pójdzie dalej.

– Potrafisz dobrze pisać. Czasem łatwiej napisać niż powiedzieć – stwierdził tata.

– Tak, ale wychodzi mi tylko kiedy piszę swoim długopisem.

– Nie znalazłaś go?

– Nie.

– Dlaczego ten długopis jest aż taki specjalny?

– Bo dzięki niemu widzę naraz to, co mam w głowie. Całą tęczę. Wtedy umiem skupić ją i zamienić w słowa. To znaczy, dokładne słowa, celne. Takie, które wyrażają to, o co naprawdę chodzi. Bez długopisu mogę sobie pisać, ale mało kto to pisanie rzeczywiście rozumie.

– Czyli to nie długopis jest magiczny, tylko ma taki wpływ na ciebie. Cała magia dzieje się w twojej głowie.

– No nie wiem...

– Słuchaj, wiesz po co my to wszystko robimy? – Pokazał ręką wokoło, na osadę. – Po co budujemy tę naszą małą utopię?

– Żeby było jedno miejsce, w którym jest lepiej.

– No, jasne, częściowo też dlatego. Ale masz rację, tak naprawdę nikt z nas nie wie, jak zrobić, żeby było aż tak bardzo lepiej, że wreszcie dobrze. Mamy dużo pomysłów, ale sama widzisz, raz wyjdzie, a raz ktoś tak spektakularnie spartaczy, że jest wielki problem i nikt nie wie, co począć. Może w ogóle opisują sytuację całej ludzkości? Brzmi to jak cała nasza wspólna historia... W każdym razie, ja nie wiem, jak to zrobić, nie wie twoja mama, nie wie wujek. Nikt tutaj nie wie, może na całej Ziemi nie ma nikogo takiego, co by wiedział. Wiemy tylko tyle, że nie możemy czekać z założonymi rękoma, aż ktoś inny się zabierze do roboty. Więc najlepsze, co możemy osiągnąć, to ty.

– Ja?

– Wszystko jest tak naprawdę z myślą o tobie. Dla ciebie. Wiesz, że ja też miałem synestezję, jak byłem dzieckiem?

– Nie wiedziałam.

– No. Czwórki są zielone, prawda?

– Nie, niebieskie!

– Ja widziałem zielone. Dwójki czerwone, trójki żółte, a niebieskie były dopiero piątki.

– A jedyńki?

– Czarne, bo zero jest białe.

– A, to dla mnie tak samo akurat. A widziałeś kolory słów?

– Tak, i kolory muzyki. Właściwie to muzyki szczególnie.

– I już nie widzisz?

– Muzykę czasem, bardzo rzadko, wiesz... Ale słowa czy liczby są już tylko czarne. Straciłem to jakoś pod koniec podstawówki. Nawet nie rozumiem do końca czemu. Pewnie dlatego, że to było zbyt dziwne. Nikt nie kumał, o czym gadam, dzieciaki miały mnie za dziwaka, a nauczyciele zwykle uważali, że chcę zwrócić na siebie uwagę. Czyli w sumie bezużyteczna ta synestezja, tylko przez nią problemy. Aż później ty się pojawiłaś i odziedziczyłaś po mnie to dziwactwo.

Tata zamilkł i zapatrzył się w dal. Po chwili kontynuował:

– No i wtedy pomyślałem, że jednak zrobili mi krzywdę. Że coś straciłem, ale tak naprawdę nie dostałem nic w zamian. Nie stałem się ani mądrzejszy od tego, że jestem taki jak wszyscy, ani sprawniejszy, ani nawet bardziej popularny, bo i tak mi nie po drodze z większością ludzi. Jeśli już, to jakikolwiek sukces zawdzięczam temu, co mnie wyróżnia, na przykład umiejętnościom, których mało komu chciało się uczyć. Więc tak czy siak, najwięcej zyskuję na tym, że jestem inny. Kto wie, czy nie zyskałbym jeszcze więcej, gdyby mnie nie sformatowano i nie zabrano mi moich kolorów. No ale dla mnie już za późno. Dla ciebie nie. Dlatego robiłem po omacku, co tylko mogłem, żeby nikt cię nie deptał i nie zabrał tego, z czym tutaj przyszedłeś.

– Mówiłeś mi, że nikt inny nie widzi świata tak samo jak ja. Dopiero teraz mówisz, że ty też widziałeś kolory...

– Naprawdę mówiłem, że nikt?

– Tak.

– Na pewno jest jeszcze kilka osób... Ale tak, no dobrze, chodziło o to, żebyś nie spodziewała się po ludziach zbyt wiele. Oni naprawdę nie wiedzą, jak to jest. A mimo to, przyda im się twoja perspektywa. Powinnaś się nią dzielić, jeśli dasz radę.

– Bez długopisu nie dam.

– Długopis dałem ci na urodziny, prawda? I powiedziałem, że czekam na to, co nim napiszesz. Więc... – Wyciągnął z kieszeni na wpół wypisany ołówek i kontynuował ceremonialnym tonem: – Przyjmij ten oto przenajcenniejszy przyrząd kreślarski, aby służył ci dobrze i wiernie! Może nie jest to twój zaginiony długopis, ale niech będzie godnym, choć tymczasowym zastępstwem.

Podał mi ołówek, a kiedy go chwyciłam, dodał:

– Wszyscy potrzebujemy tego, co nim napiszesz.

– To chyba nie zadziała, tato – zgasiałam go.

– Nie zobaczysz, dopóki nie wypróbujesz.

– Nawet nie wiem, od czego mam zacząć.

– Zaczynaj od czegokolwiek. Byle z serca. I pokaż nam właśnie to: jak widzieć i rozumieć, co tylko ty widzisz i rozumiesz.

– Okej – stwierdziłam na wpół zrezygnowanym tonem. – To idę na górę do pokoju.

Przytuliłam się do taty, a później ruszyłam do schodów.

Ołówek nie miał tych kolorów, które miał długopis. Właściwie nie miał żadnych kolorów, poza swoim normalnym, zielonym, jaki widzieli wszyscy.

Usiadłam przy biurku, wyjęłam kartkę papieru i zaczęłam bazgrolić co mi przyszło do głowy. Oczywiście wyszły z tego bzdury, więc – miałam rację, nic magicznego się nie dzieje. Sztuczka taty jest zbyt chytra, żeby działać.

Ale później zaczęłam myśleć, co bym mogła powiedzieć, gdybym pisała na poważnie.

I przyszło mi do głowy, że kluczem jest otwartość – jeśli rozumiesz i swoją perspektywę, i cudzą, nie poddasz się tak łatwo ciemnym kolorom.

Albo nawet więcej: myśl o drugiej osobie, jak o sobie. Istota, która patrzy cudzymi oczami jest taka sama, jak ta, która patrzy twoimi.

Albo inaczej: patrz w siebie takiego, jakim jesteś naprawdę i nie udawaj kogoś innego. Nawet jeśli spotka cię z tego powodu przykrość, przynajmniej poznasz prawdę.

Albo tak, albo podobnie. Każda sentencja wydawała mi się niekompletna, wręcz banalna. Żaden dorosły by się nimi nie przejął, bo przecież dorośli wszystko już wiedzą i wszystko słyszeli. Jednak kiedy myślałam o tych słowach, kolory w mojej głowie układały się we właściwym porządku. Tak jakby wiedziały, co powiedzieć, nawet jeśli mnie sprawiało to problem. Wzięłam więc ołówek, który nagle rozbłysł tęczą – właśnie tą tęczę; tęczę, której szukałam. Skierowałam rysik na papier i pozwoliłam, aby tylko kolory kierowały moją myślą i dłonią.

Prezydent ogłosił stan wyjątkowy w dniu, w którym zgubiłam swój długopis – napisałam.

Był to również dzień, w którym zrozumiałam, że nikt nie zbuduje za mnie lepszego świata. Żaden urzędnik, żaden facet z bronią, żaden przyjaciel, ani nawet moja rodzina. Lepszy świat zaczyna się ode mnie – i od każdego z nas z osobna.